

Cena numeru 10 zł.

# ROZCI<sup>6</sup>

## BIJAĆCO TYDZIEŃ

Rok II

2 luty 1947

Nr. 6 (26)

PO ZWYCIĘSTWIE BŁOKU P. MIKOŁAJCZYK ZŁOŻYŁ WIZYTĘ AMBASADOROWI BRYTYJSKIEMU, A NASTĘPNIE  
OŚWIADCZYŁ, ŻE ZOSTANIE RACZEJ SZOFEREM, NIŻ MINISTREM

'z pras'



rys. HENRYK TOMASZEWSKI

Samochod jednocylindrowy



LUDWIK JERZY KERN

## MIĘDZY NAMI POETAMI...

Cały świat przeżywa obecnie bardzo silne wzruszenia. Nasz wypróbowany przyjaciel, demokratyczny król szwedzki, Gustaw z prawdziwym wzruszeniem kazał zamknąć do skarbca swój koronacyjny rower, zapakował z nietajoną radością swe dynastyczne rakiety i po raz pierwszy od roku 1939 udał się na francuską Riwiere. Być może na wesołą lumpkę z nierozparcelowanymi jeszcze hrabinami, być może z delegatami Szpicbergen.

Generał Eisenhower sfatygowany inwazją i kłopotami powinowatymi na wieść o nominacji gen. Marshalla z radością się rozchorował na żółty i z zapalem położył się do łóżka.

Flota amerykańska zziębnięta manewrowała w okolicach podbiegunowych, gdzie zamierzają płuca już w temperaturze 50 stopni poniżej zera, z prawdziwym uczuciem ulgi udaje się na wywczas w ocean Spokojny.

Chile dopiero teraz uzyskawszy nieco wolnego dla USA czasu oświadczają z niesłabnącym uporem, że granice republiki chilijskiej kończą się w okolicach arktycznych, bardzo zasobnych w bazy i kopalnie. Sir Stafford Cripps rozegzaltowany postępnymi gospodarką planowej, oświadcza, że granice Anglii kończą się na obywatelach pracy, wzywa Anglików do gwałtownej odbudowy imperium. Imperium rozegzaltowane zwycięstwem socjalistów francuskich z radością rozpisuje amnestię dla swych 20.000 dezertorów. Jeńcy w strefie brytyjskiej na wieść o nowej „mowie“ (sic!) Schuhmachera już nie dezertują. Uważają siebie za dostateczną zapłatę za szkody poczynione przez swych zwierzchników. Dziwią się rozszerzeniem państw poszkodowanych przez Niemcy napadnięte. Toteż nic dziwnego, że niekoronowany jeszcze przez amerykańską prasę król bootlegerów (przemysłowców, paserów, producentów amerykańskiego bimbru etc.) Al Capone na wieść o tych wszystkich radościach, widocznie obliczył sobie, że może dla inicjatywy prywatnej nie ma narazie dobrej prasy i począł konać w swej uroczej rezydencji w Miami na Florydzie.

A nasz Kraj?

Nasz kraj na wieść o zwycięstwie sfer postępowych upojony radością, bije w niebo krzykiem triumfu, uchwała jedną rezolucję po drugiej, wysyła dziękczynne deklaracje, podrzuca wybranych, psioczy pod adresem niepowołanych, huia od knajpy do knajpy.

Na wieść o zwycięstwie bloku demokratycznego mnóstwo osób postanowiło wreszcie z radości poczynić w swych poglądach wyłoni (zapowiadający się już w zraniach ich młodości), przyrzekło sobie być wieczystymi zwolennikami gospodarki planowej i w tym celu zamówiło komplety pism satyrycznych w celu przestudiowania swych powstałych dopiero w okresie okupacji braków.

Na wieść o zwycięstwie powstał prawdziwie słowiański entuzjazm.

Patrz, jak ładnie na świecieł  
— mówił poeta poecie —

Są różne kółka. Są gniazdka.  
Na ziemi i na gwiazdkach.

Orrgnizacja! Człek żyje.  
Kwiatuszek wacha. Pije.

Słońce mu świeci z wysbka.  
Ptaszek mu śmiga w obłokach.

Sny mu się czasem pośnią.  
Dziewczyna. Ma w śnie coś z nią.

Czasem wiaterek przyleci.  
Myśli biyśnie. Umysł zaśmieci.

Z tego się robi zarodnia.  
I lu na kartkę. Co dnia.

Jedna karika. Dwie kartki.  
Płynnie bieg życia wartki.

Miesiąc poprostu to mig.  
Pięć kartek. Sześć. I tomik

Idziesz. Mówisz: „Wydawco!  
Z tych rękopisów spraw co!”

A jakże. Wydrukują.  
Opiszą. Rozreklamują.

Rozejdzie się triumfalnie  
na ojczyźnane księgarńie.

I tam (aż przytko wierzyć...)  
proszę ja ciebie, leży.

Leży. Nic się nie klei,  
A w kolo pantha rhei.

Nowe prądy i style.  
Nie moda na idylle.

Naturalnie robisz chwyt tu.  
Uciekasz się do k o n f l i k t u.

Recepta jest stara. Prosta.  
OGÓL contra JEDNOSTKA.

A w końcu mówisz kolego:  
NARÓD NIE DORÓŚŁ DO TEGO!

Oj, dolo nasza, dolo!  
Wciąż Słowackiego wołaj...

Tłumy kolporterów oblegają tłum redaktorów, tłum redaktorów oblega tłumy agentów prasowych, tłumy agentów prasowych oblegają tłumy posłów, tłum posłów oblega tłumy kolporterów, tłumy kolporterów oblegają tłumy agentów prasowych, zaś niektórzy posłowie Byłej Krajowej Rady Narodowej zabierają ze sali tłumoką i udają się do swych zajęć prywatnych.

A pozatem w Łodzi?

W Łodzi? Według Dziennika Łódzkiego władze milicyjne znowu zaaresztowały tak zwanych podwójnych złodziei (w gwarze dziennikarskiej tych, co kradną nie tylko buty i koldry, ale i kiełbase). Dalej u zbiegu ul. Limanowskiego i Puławskiej tramwaj znowu przejechał kontą, przy ul. Prądzyńskiego nieznaną sprawcy znowu ukradł 19 gołębi, 8 kur, indora i 2 króliki.

Także ukradziono 25 metrów sznura do wieszania bieżni, parę klepek, zatrask do kołnierzyka i pozatem niewiadomo czy w związku z pojawieniem się plam na Marsie (czy też na sumieniu), wiele osób, które udały się wczoraj niepewnym krokiem w kierunku niewiadomym, dotychczas nie powróciło do swych baz.

Spodziewane także obfite opady śnieżne, przejrzystość powietrzna jak zwykle bardzo dobra na odległość dłoni i na zakończenie przestrzegamy: oddajcie skórki królicza, którą mi zreprzywatyzowano wczoraj w autobusie, gdyż władze są na tropie.

Migdalek



Rys. Regina Kańska

za-KI SA ne piosenki



# O NIETRWAŁOŚCI RZECZY ZIEMSKICH

## PRZYPOWIEŚĆ

Był sobie raz biedny referent. Pensji miał trzy tysiące miesięcznie plus przydziały. Ubranie, buty wyfasował z Unrry i tak żył. Aż w końcu mu się to znudziło. A było to w sam wieczór wigilijny, kiedy spożywszy wigilię u kuzynów wracał do domu ciut, ciut zawiany... Siadł na tapczanie i pomyślał: Mój miły Boże, żebym to choć raz dostał ze dwadzieścia tysięcy! Czego bym sobie wtedy nie kupił!

Pomyślał, aż tu nagle schodzi anioł z nieba i powiada:

— Obywatelu referencie, powiedzieliście w szczególnej chwili. Napiszcie tylko podanie do Niebieskiej Opieki Społecznej. A postara się uwzględnić.



„Napisal referent podanie, umotywowal, ze „jako spalony w Warszawie“ musi sobie kupic troche garderoby i dal aniolowi. Fruнал aniol do nieba i nie minelo kwadrans, juz jest z powrotem.

Zdumial sie urzednik, ze tak szybko. A aniol powiada:

— U nas w niebie nie ma biurokracji. Wszystko zalatwia sie pionunem. Macie tu obywatelu, czek na 20.000 tysiecy do zrealizowania w Banku Narodowym. Wesolych swiat! I odlecial.

Podjal referent pieniadze i od razu po Swiatach wyruszy po zakupy. Wraca do domu obladowany, jak szabrownik. Czegoz sobie nie kupil? Dwie koszule po 2.000 zlotych, buciki za 8.000 zlotych, pizama za 2.000, kapelusz za 1.000 zlotych, piecyk elektryczny za 2.000 zlotych, nawet latarke elektryczna i nocne pantofle. A na ostatek jeszcze wieczne piro. No, i naturalnie — litr „czystej“.

Wielka mial z tego radość, ma sie rozumiec. I chodzil po ministerstwie dumny jak paw — tylko do urzedniczek sypal oko. A nawet podobno jedna namowil, zeby do niego przyszla zobaczyc te jego pizame. Choć wiadomo, iak ludzie plotkują.

A tu nagle wszystko sie zaczyna psuc najpierw latarka. Pali sie w w kieszeni, a kiedy ja chce zapalic na ciemnych schodach, ani dudu. Próžno kupuje baterijke za baterijke za baterijke. Latarka na nic. Po prostu do chrzanu.

Po tym zaczęło nawalać wieczne pióro. Nie chce pisac, atrament wylewa sie na spodnie. Słowem — nie do użytku.

Piecyk elektryczny też się nie udał. Załedwie włączył go do kontaktu, tak zaczął śmierdzieć, że po

kilku minutach trzeba było otworzyć okno i wietrzyć, przez co w pokoju zrobiło się zimniej, niż przedtym.

Koszule oddał po tygodniu do prania. Odebrał z prania i chce włożyć — zaciasna. Zbiegła się szelma tak, że nie wchodzi. Tylko ją sprzedać na Wodnym Rynku. To samo i z pizamą.

Pantofle nocne już po miesiącu chodzenia zaczęły się rozlażyć, po dwóch — całkiem się rozlażyły.

Kapelusz trzymał się jako tako aż do pierwszego deszczu. Kiedy tylko zmókł, zaraz się na nim porobiły plamy, a po drugim deszczu był już zupełnie nie do użytku.

Buty po parę tygodniach zaczęły przeciekać, a wiadomo, że to żadna przyjemność chodzić z mokrymi nogami. Kataru też mona dostać. Poszedł więc biedny referent do sklepu i za ostatnie tysiąc złotych kupił kalosze.

Cieszy się referent. Myśli: No, tę zimę przechodzę na sucho. A już ledwie nastala odwilż i błoto, choć niewielkie w tym roku, a tu na nieszczęście — kalosze przeciekają.



WIKTOR WOROSZYLSKI

## LIMERYKI Z MORALAMI

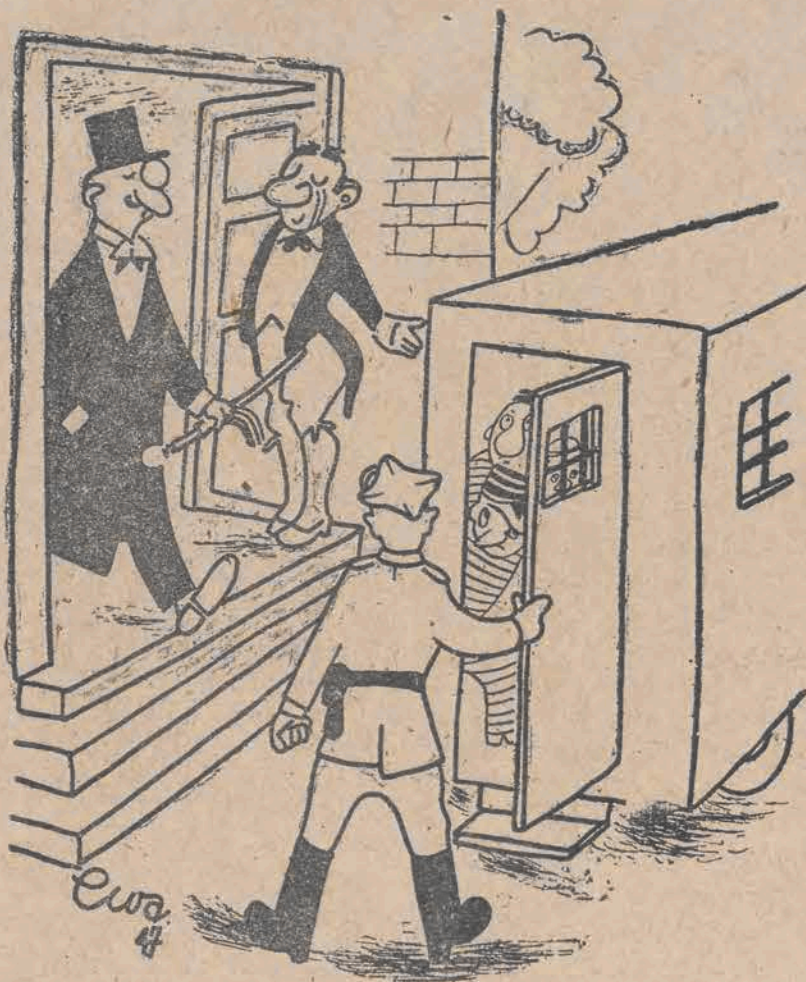
### O KLASACH PRZEMIJAJĄCYCH

Ongiś istniał w Rzymie patrycjusz,  
Który zwał się podobno Winicjusz.  
Bardzo był aspołeczny,  
Nierealny i wsteczny.  
Jak widzicie, niema zeń nic już.

### BEZ MORALU

Przed odkryciem obydwu Ameryk  
Mieszkał w Glasgow pewien historyk  
Snobem był i idiota,  
Ząs stworzyłem go po to,  
By mieć jeszcze jeden limeryk.

### PO OSTATNICH AFERACH ARYSTOKRACJI POLSKIEJ



Bys. Ewald Guyski

— Panie hrabio, samochód zajechał...

Miesiąc nawet nie minął — a wszystkie rzeczy okazały się do niczego, po dwóch zaś miesiącach wrócił biedny referent do swoich starych podkutych gwoździami butów z demobilu amerykańskiego, unrowskiej demobilowej koszuli i wojennej narciarki, po ciemnych schodach chodził omackiem, po pokoiu na bosaka, żeby się zahartować, a elektrycznych piecyków i tak zabroniła używać elektrownia.

Ze wszystkich, tak drogo kupionych rzeczy, nie zawiodła go tylko jedna — „czysta“.

Upił się więc z wielkiego smutku. (I nic dziwnego: każdy by zrobił tak samo na jego miejscu). Siadł w nieopalonym pokoju boso na tapczanie i zapiakał jak Hiob. Aż tu zlatuje z nieba ten sam anioł i pyta: —

— Czemu płaczesz?

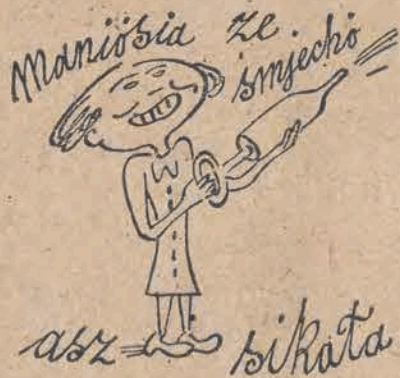
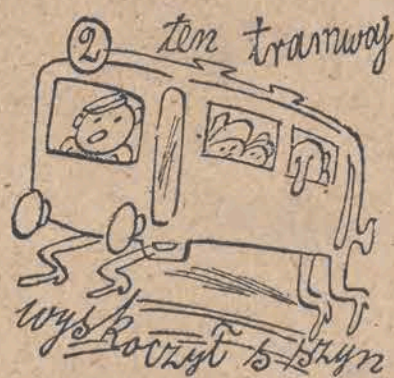
— Jakże nie mam płakać — odpowiada referent — Kiedy mnie



Bóg tak doświadczył. Wszystkie miałem: koszule, buciki, pizamę, pantofle nocne, nawet wieczne pióro — a, oto nie zostało mi nic prócz zmartwień. Wszystko minęło, jak sen. Tylko się zgryzłem i nadenerwowałem, tak że teraz obawiam się nadkwaśności żołądka na własny koszt muszę iść do lekarza.

— Widzisz, synu mój — powiada anioł — jak mądre są wyroki Opatrzności. Cierpisz dlatego, że zbytnią wagę pokładałeś w rzeczach ziemskich. Oto masz dowód, jak są nietrwale. Nie w dobrach ziemskich, ale w zbawieniu duszy powinniśmy pokładać sens życia. Amen.





Rys. Kazimierz Grus

ANTONI PANEWKA

## DZIEDZICZNOŚĆ

Spotkałem wczoraj kochanego Stasia Cynarskiego. Przywitał mnie serdecznie i od razu zawołał:

— Przyjrzyj mi się! Nie widzisz żadnej zmiany?

Obejrzałem go od stóp do głów, poczem wydałem orzeczenie:

— Nie, kochany Stasiu, nic szczególnego nie wpadło mi w oczy.

— No, w takim razie — powiedział chłodno Cynarski — jesteś kiepskim fizjonomistą; ożeniłem się.

— Hm, hm — zastanowiłem się — a kiedyś to zdążył zrobić?

— Tydzień temu — odparł Staś — Jestem żonaty od tygodnia, ale muszę czekać 1000 tygodni, nim będę szczęśliwy.

— 1000 tygodni, nim będziesz szczęśliwy? Nic nie rozumiem. Przecież chyba twoja żona...

— Jest bardzo brzydka i bez grosza — przerwał Cynarski.

— No, to pocoś się ożenił?

— To, widzisz, sprawa wyrafinowana i w ogóle dla subtelnych umysłów. Byłem, proszę cię, na urlopie w Łudowie; tam poznałem pewnego starego i wybitnie nieciekawego urzędnika celnego. Powadam ci, karciorz, rzęda i, jak to się mówi, przyk. Ale za to żona jego, pani Rysia — ho, ho. Piękna, zgrabna, pierwszorzędną bajzak...

— Więc rozwiódłeś ich — zauważyłem domyślnie — i...

— Skądże! — zachnął się Staś — Przecież ci już mówiłem, że żona moja jest bardzo brzydka.

— Zatem dlaczego?...

— Właśnie chcę ci wyjaśnić. Otóż, rozumiesz, pani Rysia bardzo mi się podobała. Co tu dużo gadać — zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Mam wrażenie, że i ja jej nie byłem obojętny.

???

— Teoria naukowa, mój drogi. Be zapomniałem ci dodać, że pani Rysia miała córkę, dwudziestoletnią Klarę, b. chudą, szpetną i t.d.

— No dobrze, ale co ta Klara ma do rzeczy?

Bardzo dużo — rzekł stanowczo Staś — Któregoś, proszę cię, wieczora, kiedy przegrałem do celnika większą ilość forsy, pani Rysia powiedziała: teraz mąż pójdzie spać, a my przejdziemy do saloniku...

— I...? — krzyknąłem wjelce zainteresowany.

Staś spojrział na mnie z uśmiechem. — Nie, — oświadczył — doprawdy zupełnie nie tak, jak przypuszczasz. Po prostu pani Rysia zdjęła z półki album z fotografiami pokazując mi na zdjęciu pewien szkielet kobiecy, rzekła figlarnie:

— Ię osobę to pan zna, dobrze zna...

— Naturalnie — odparłem — to przecież panna Klara!

— Wcale nie! To ja, kiedy miałam dwadzieścia lat!

Potem mi opowiedziała, że w swoich latach dwudziestu była jak dwie krople wody podobna do córki i w ogóle patrząc na nią, ma złudzenie, jak gdyby widziała swoje dawno odbicie w lustrze! Doda nawet na to solemne słowo honoru. To odkrycie dało mi, uważasz, b. wiele do myślenia...

— W jakim sensie? — zagadnąłem Stasia.

— Ach, doprawdy z ciebie bował niezwykłego matola żeby nie zrozumieć, że jeśli matka była tak podobna do córki, to rzecz jasna, przyjdzie czas, kiedy córka będzie wiernym odbiciem

matki. Teoria dziedziczności. I oto przyczyna, dla której ożeniłem się z Klarą, która dziś jest wprawdzie chuda i paskudna, ale za to za lat 20 będzie czarująca, jak pani Rysia...

Zetknąłem się z Cynarskim parę lat później.

— No, i jak Stasiu — przypomniłem mu wesoło — z teoria dziedziczności? Klara pięknieje?

Staś spojrział na mnie ponuro i machnął ręką.

— Lipa, bracie, i granda! Nic z tego.

— Więc wpadłeś na teorię?

— Na jakiej teorii! — oburzył się Staś — Na praktyce. Wpadłem. Klara nie jest bynajmniej córką pani Rysi, tylko tego wstrętnego celnika. Z pierwszego małżeństwa. Powiedziała mi o tym parę dni temu, gdy ją przekonywałem o znaczeniu dziedziczności...

JAN HUSZCZA

## NA POWITANIE ŚNIEGU WIERZ PRAWIE LIRYCZNY

Więc nareszcie śniegu przydział  
nam niebieski zesiał wydział!

Drzewa stoją całe w bieli,  
święci pańscy i anieli

od samego sypie ranka  
śnieżek biały jak w czytankach...

Wszystkie ciocie (te, z „Świerszczyka”!)  
radość przeto aż zatyka:

świeiny temat, łatwe rymy —  
o dar hojny pani zimy!

Z nas też każdy pomóc skory,  
więc poniższe ślemy wzory:

„Hej, gdy śnieżek cicho prószy,  
Lekko robi się na duszy”...

„Śnieg, hej, pada ciągle biały,  
Okrył puchem kraj nasz cały”...

„Z kolegami ciągnie sanki  
Zygmus, hej, brat mój Hanki”...

„Szkoła dziatwa roześmiana  
lepi z śniegu, hej bałwana”...

„Hej, maluje srebrne kwiaty,  
mróz na szybach każdej chaty”...

„Hej, na dworze trzeszczą mrozy,  
sań na śniegu skrzypią płozy”...

Niech ma pracę cióć tych gronc  
absolutnie ułatwioną!!!

## ZA KULISAMI SŁAWY

Kilka lat przed wojną Osterwa gra w Krakowie Kordiana. Publiczność szaleje. Mistrz ruchem ręki ucisza publiczność; brawa milkną. A mistrz mówi:

— Nie mnie dziękujcie. Dziękujcie Panu Bogu, że mi dał taki talent.

Rok 1940. Kraków na Kossakówce. Madzia Samozwaniec, Osterwa i ja. Mistrz mówi:

— Już teraz wiem, że wojna tylko po to wybuchła, bym mógł poznać jedno arcydzieło greckiej poezji tragicznej. Gdyby nie wojna, nie znalazłbym się w schronie, dokąd jeden z mieszkańców kamienicy przyniósł tę tragedię. Przeczytałem ją. Genialny utwór.

— A jaka to tragedia — pytam.

— Autor nazywał się... zaraz, za raz... niech sobie przypomnę...

— Może Platon — podpowiada Samozwaniec.

— Nie, nie — chodzi o pisarza tragicznego.

— To może Homer — szepce jadowicie Madzia.

— Nie. Nazywał się... Kanapa... Ke nana... Kanapokles... Nie... Sofa... Aha, Sofokles. A tytuł sztuki: „Antyfony”.

Na prepremierę swej „Wielkanocy” przyszedł Stefan Otwinowski w czarnym ubraniu, czarnym krawacie, czarnych trzewikach i w jaskrawo szlonym swetrze.

— Ubrałeś się nie jak na premierę — mówię lecz jak do trumny. Tylko ta zielen będzie razić.

— Nie będzie razić, bo nie będzie jej widać w trumnie.

— Jaki?

— Przecież nakryją mnie zastandarem

Po świetnym sukcesie „Wielkanocy” składam Otwinowskiemu gratulacje.

— A wiesz, komu to zawdzięczam? — mówi tajemniczym szepem.

— No?

— Wyłącznie sobie samemu.

Leopold Staś spojyka Otwinowskiego.

— Zazdroszczę panu, panie Stefanie.

— A czego mi kolega zazdrości?

— Chciałbym być takim megalomanem jak pan.

Rozmawiamy z Otwinowskim o jego powieści „Czas nieludzki”, rozgrywającej się, jak wiadomo, podczas okupacji.

— W tej powieści — mówi Otwinowski — dałem niezwykle wnikliwe studium strachu.

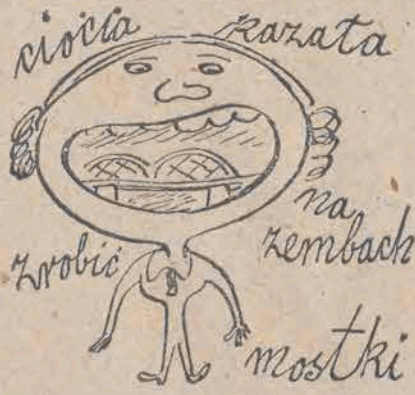
— Na to pani Otwinowska:

— Bo też nikt tak się nie bał w czasie okupacji, jak ty.

Zebrał

Artur M. SWINIARSKI





Rys. Kazimierz Gr.

Ta humorystka gnębiła mnie okropnie. Miałem wysłać ją już w środę, a tymczasem zrobił się piątek — pomysłu nie miałem. Nagle po południu błysnął mi w głowie znakomity pomysł. Wspaniały! Na miarę Czechowa! Rzuciłem się jak żbik do maszyny, szybko założyłem papier... A wtem — zadzwonił telefon!

Co zrobić? Czy zanotować pomysły, który dopiero zaczął się krystalizować w mej głowie? Bo, a nuż zapomnę? Byłaby tragedia! Ale telefon nie dawał czasu do namysłu: dzwonił, jak opętany!

Zrezygnowałem z robienia notatek i podbiegłem, wściekły, do aparatu.

— Hallo! — zawołałem.

— Czy mieszkanie pana Kowalskiego? — spytał nieznaną, niewidoczną głosik.

— Tak. Czym mogę służyć?

— Czy pan mnie nie poznaje?

— Nie! — odparłem brutalnie.

— Czyżby?... Niedawno tańczyłam z panem...

— Możliwie. Z kim mówię?

— Och, jaki pan niecierpliwy! A może pan swoją opryskliwość zraził do siebie osobę, która jest bardzo, bardzo panu życzliwa?

Gdybym miał wolne ręce, to na pewno bym je załamał. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że pomysł humoreski zamglili się i dowolną się rozprasa...

— Wcale nie chcę pani zrażać! — krzyknąłem. — Ale z kim mówię?

— To sprawa sercowa — powiedziała łagodnie moja rozmówczyni.

Pomyślałem z pewnym rozrzewieniem: — Nic innego, tylko jakaś głupia gaska zakochała się we mnie. A skąd mogła wiedzieć, że akurat jestem tak zajęty? Złagodziłem.

KAROL KOWALSKI

## HUMORESKA

— No dobrze już, dobrze. Więc co mi ma pani do zakomunikowania?

— Tak dalej żyć nie mogę! O, moje biedne serce! Muszę pana odwiedzić — wypaliła nieznajoma.

Zdąbiałem! Ta ma tempo!... — Hm, proszę bardzo... — odparłem niepewnie.

— Ale muszę dodać — ciągnęła dalej kobieta — że i z żołądkiem jest u mnie coś nie w porządku. Co zjem — to oddaje. Ciocia Kundzia

mówi, że to opuszczenie żołądka, ale ja nie wierzę.

Ta część wygnania wydała mi się nieco niesmaczna.

— Hm, tak... — mruknąłem, aby coś mruknąć.

— Więc kiedy mogę pana odwiedzić?

— Może przed wieczorem? — zaproponowałem niezdeterminowanie.

— A przed południem nie można?

— Jak pani sobie życzy...

— To doskonale! Przy dziennym

światłem lepiej pan sobie mnie obejrzy!

— Mimo woli się zaczerwieniłem. „A to kokietka!” — pomyślałem.

— Dlaczego pan milczy?

— Wcale nie milczę, tylko nie mogę mówić! — zawołałem. — Proszę, niech pani przyjdzie przed południem! Adres — pani zna?

— Ależ oczywiście! Jest w książeczce telefonicznej. A teraz jeszcze tylko jedno pytanie... Ile pan bierze za wizytę?

Zatrząsałem z oburzenia. Jak to — ja miałbym brać od niej za wizytę? Chociaż ma opuszczony żołądek, ale to przecież nieważny drobiazg. Jeśli tylko buzia ładna i figurka zgrabna, to żołądek nie gra roli!

— Ależ skąd? Za kogo mnie pani ma? — zawołałem z goryczą.

— Przecież pan z tego żyje — powiedziała kobieta z przekonaniem.

— Ja?! Któż narobił takich plotek?? Zabiję go, jak psa!!

— Cóż za dziwna skromność, panie doktorze! — zdziwiła się kobieta.

— Doktorze?... Wcale nie jestem doktorem! Jeszcze za zwykłą maturę nie dają doktoratów!

— Jak to?... Przecież mówię z doktorem Kornelem Kowalskim?...

— Cooo? Nie podobnego! Jestem Karol Kowalski, literat!

— A, to przepraszam. Widocznie pomyłka. Tylko niech pan nikomu nie mówi, że mam opuszczony żołądek.

— A diabli panią wiedza, co pani za jedna?! Mam w nosie pani żołądek!! — krzyknąłem z wściekłością i cisnąłem słuchawkę na widełki.

Pomysł humoreski, naturalnie, orzepadł.

JAN CZARNY

## FRASZKI

DON JUAN W PÓŁCZESNY

Gdy telefonuje do swej przyjaciółki drząc dreszczem miłosnym na drutach jaskółki.

PRAKTYCZNA RADA

Pijcie pod syrenę — powiem wam pokrótce: ryba i kobieta — dobra rzecz przy wódce.

WZROK

Wzrok ma pan tak ostry, że spojrzenia samego przez dziurkę od klucza mogą popsuć zamek.

POTEGA REKLAMY

Chytrym kobietkom — oto co każe barwnym ożywiać się maquillage'em: Twarz, jak witryna mówi najlepiej jaki się towar znajduje w sklepie...

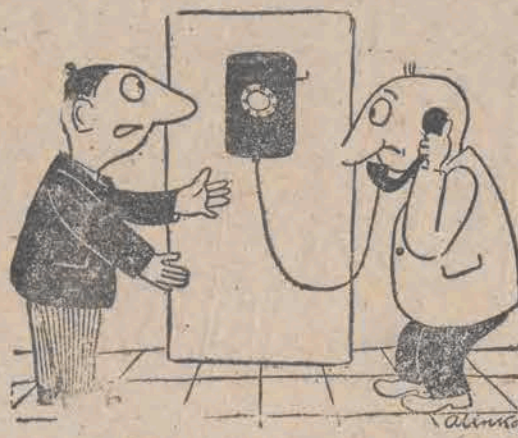
BIOGRAFIA MALARZA

Van Gogh się kochał w żółtym kolorze (nawet na żółto malował zorzę) Miłością darzył zwyczajną praczkę — wiecie dlaczego? Miała żółtaczkę...



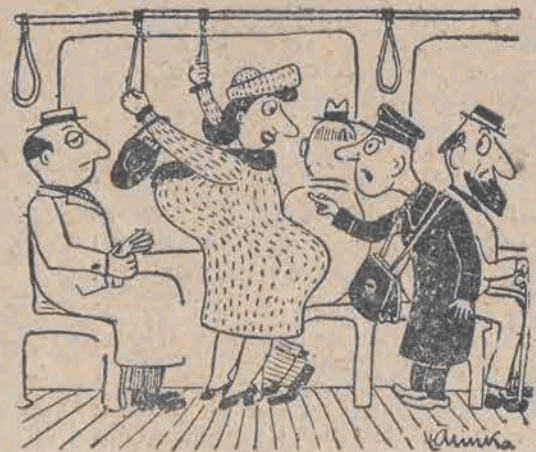
Rys. Alinka

— A za co go powiesili, baronie, za co?



Rys. Alinka

— Rozmawiam z żoną!



Rys. Alinka

— Jak się puszczę to panu zapłacę!



Nie trzeba się za bardzo przywiązywać do rzeczy doczesnych. Pan Alojzy Gnacik doświadczył tego na sobie, gdy mu zamieniono w szatni kapelusz.

— To nie jest mój kapelusz — stwierdził kategorycznie.

Szatniarz bardzo się zdziwił, okazał inne kapelusze, co wprowadzało pana Gnacika w coraz gorszy humor.

— Nie wyjdę stąd bez mojego kapelusza — zdecydował.

Szatniarz przyjął wiadomość o tym zamierzonym strajku okupacyjnym z miną, wyrażającą jak najszczerszą bezradność. Przynosił wszystkie kapelusze po kolei, wybór był tak duży, że zadowolniłby najwybredniejszy gust, lecz Gnacik domagał się swojego kapelusza.

— Może łaskawy pan zabierze tymczasem ten kapelusik i zostawił nam swój adres — zaczął szatniarz pojednawczo — Wiedcznie ktoś przez pomysłkę... w pośpiechu...

Gnacik zirytowany do ostateczności, wypowiedział kilka mało uprzejmych słów, podyktował adres i porwał kapelusz, wyszedł na ulicę.

— Mogę długo czekać, nim mi go odniosą — myślał rozgoryczony — Ten, który wziąłem, jest tak zniszczony, że nikt się po niego nie zgłosi.

Zamieniony kapelusz rzeczywiście nie prezentował się szczęśliwie, był poplamiony, wymiętoszony i, co gorsza, zaraz opadł Gnacikowi na lewe ucho.

Gnacik podsunął go ze złością ku górze, ale to nic nie pomogło, bo uparty kapelusz zaraz powrócił na lewe ucho, jakby przemyślnie uznawszy to położenie za najdogodniejsze.

— Ładna zamiana, nie ma co mówić — gnębił się Gnacik, zgrzytając zębami — Z moim kapeluszem mogę się już pożegnać na zawsze. A tak go lubilem, taki był miły, swojski...

Gnacik przyznawał w duchu, że i tamten był nieco podniszczony, ale ten jest znacznie gorszy, no, i ciągle leci na lewe ucho.

Doprowadzało to Gnacika do rozpacz. Zrozumiał, że będzie musiał sprawić sobie nowy kapelusz, a w tym miesiącu niestać go już na taki wydatek.

— I dlatego ja mam kupować nowy kapelusz, jeżeli w moim mogłem jeszcze chodzić dwa lata? — zatruwał się w dalszym ciągu.

Tymczasem zmieniony kapelusz zachowywał się na jego głowie zupełnie nieprzychylnie. Przechylał się i przekrzywiał jak mu się podobało i rządził się jak szara gęś, zupełnie nie zwracając uwagi na właściciela.

— Nie; tego nie wytrzymam. Moja głowa nie jest podstawką pod kapelusze.

Postanowił zaraz iść do sklepu, lecz w porę przypomniał sobie, że zamiar kupna jest w tym miesiącu niewykonalny.

— Którego dzisiaj mamy — dumał gorzko — Dopiero połowa miesiąca. Dziękuję. Jacy ci ludzie nieuczciwi.

Starając się jak najmniej poruszać głową, aby utrzymać niesfornego intruza w jakiejś takiej równowadze, powrócił myślą do dawnego, miłego towarzysza, do utraconego nakrycia głowy i starał się wytłumaczyć sobie, że nie należy przywiązywać się do przedmiotów, lecz czuć jak bardzo cierpi nad tym.

Naraz zerwał się silny wiatr i Gnacik uczył, że coś się stało u góry, chłód owiał mu tyśnię, a po chodniku potoczył się pogardzony kapelusz, lansując swawolnie i umykając przedko, jakby chciał w pełni korzystać ze swobody.

— Jeszcze tego tylko brakowało — Gnacik rozepchnął kilku przechodniów

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

## KAPELUSZ

i zamasyście puścił się w pogoń za uciekinierem. Niestety, kapelusz po kilku jeszcze obrotach wpadł pod samochód i został dokładnie zgnieciony przednim kołem.

Jednak w Gnaciku przebrała się miara doświadczanych tego dnia

krzywd, zatrzymał auto i tonem nie znośnym sprzeciwu domagał się odszkodowania. Samochód prowadziła kobieta, która z miłym uśmiechem starała się wykazać brak własnej winy. Jeżeli kapelusz przypadkowo zaplątał się pod koło.

— Zaplątał się, czy był przejechany, to wszystko jedno — zaperzył się Gnacik — Dostyc na tym, że jest nie do użycia. Kosztował 3000 zł, to był prawdziwy... ten... jakże się nazywa...

— Zapewne borsalino — powiedział jeden z mężczyzn siedzących w samochodzie, spojrzawszy na rozpląszczony na jezdni kapelusz, do którego żagna firma na świecie nie chciała by się przyznać.

— Tak jest, borsalino. I to dobre borsalino — gnęwał się Gnacik.

Zbierało się coraz więcej gapiów, wobec czego ten sam mężczyzna, który się odezwał, wypłacił Gnacikowi żądaną sumę.

Udobruchany Gnacik zauważył tylko: — Takie są skutki, jeżeli kobieta prowadzi samochód.

Pełen zadowolenia pośpieszył z odkrytą głową i jął gorączkowo układać plan, jak ma postąpić. Czy kupić kapelusz z 500 zł, a resztę odłożyć, czy też raz narazie pozwolić sobie na jakiś luksus i kupić wykwintny kapelusz za całe 3000 zł? Taka sposobność nigdy się już nie nadarzy.

I pan Alojzy Gnacik z nagłym pragnieniem nieznaną rozrzutnością wybrał w magazynie kapelusz za 3000 zł. Ani słówkiem nie pisał że za drogo, chociaż normalnie, gdyby mu powierzono 600 zł to jeszcze by się targował. Zapłacił bez mrugnienia powiek.

Wracając do domu, był niezwykle podniecony. W głowie pod drogim kapeluszem szumiało mu, Wyobrażał sobie, jak go jutro przyjmą koledzy biurowi. — A, pan kupił nowy kapelusz. Tak w środku miesiąca? Proszę, proszę. — Teek — odpowie od niechcenia — kosztował 3000 zł.

Zaledwie Gnacik wszedł z różowymi myślami do mieszkania, ktoś zapukał do drzwi. Pan Alojzy otworzył. Przed drzwiami stał jakiś staruszek.

Podano mi w szatni adres pana...

Gnacik nie słuchał dłużej. Poznał na głowie nieznanego swój dawny kapelusz.

— ...wziąłem przez rozlgnięcie... Zanim się spostrzegłem... — tłumaczył się przybysz — Bardzo pana przepraszam...

— Nie ma za co — mruknął Gnacik boleśnie.

Staruszek rozglądał się po przepokoj, poszukując wzrokiem swojej własności. Wreszcie zapytał uprzejmie: — A gdzie jest mój kapelusz?

— Niemyśli pan chyba, że mogłem chodzić w czymś takim: — odrzekł Gnacik wyniośle.

Staruszek zawstydił się, zaczerwienił i powiedział z odrobiną zjadliwości:

— Nie uważam, żeby pański był w znacznie lepszym stanie. Lecz mniejsza o to. Zatem proszę o mój.

Gnacik objaśnił nieco pokorniej: — Wyrzuciłem go. Może pan weźmie ten, który kupiłem przed chwilą. Zupełnie nowy. Kosztował... — Gnacik westchnął. Cóż mu przyjdzie z tego, że się pochwali?

Przybyły ocenił kapelusz, przemierzył, Gnacikowi serce się ścisnęło.

— Ostatecznie... mruknął staruszek i dodał surowo — Jednak na przyszły raz proszę mniej lekkomyślnie postępować cudzymi rzeczami.

Gnacik zobaczył, jak jego luksusowy nabytek, którym się cieszył zbyt krótko, żegna go w ukłonie i, unoszony na głowie staruszka, znika za drzwiami.

— Jacy ci ludzie są... skrupulatni — powiedział Gnacik niechętnie.

Wziął w ręce swój dawny, odnieiony mu teraz kapelusz i cisnął go w kąt z odrazą.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## PIWO I BUTELKA

Raz butelka obelżywie  
Wyrażała się o piwie:

„Ja się ludziom bardzo dziwię.

Że gustują w marnym piwie.

Czemże jesteś, nędzne piwo?

Żółtą cieczą, pianą siwą!

A ja jestem panią wielką,

Bo z pięknego szkła butelką.

Pierwszy lepszy z ciebie zadrwi

I wylewa piwo za drzwi!”

Na to piwo: „Patrzcie mi ja!

Samochwało z długą szyją,

Przymknij swoje szklane usta!

Wiedz — beze mnie jesteś pusta,

Ty najgorsze z wszystkich stu flach!

Wolę już musować w kufkach,

Niżli w tobie butelczyno,

Jak but głupia z butną miną.

Ach, ty w szkło trącona fajol

Mówisz, że mnie wylewają?

Choć o szklanej cności pleciesz,

Nieraz ciebie tłuką przecieź!”

Nagle tuż przy stole wyrósł

W sztok zalany wielki szmirus,

A że patrzył na świat krzywo,

Siłki butelkę, wylał piwo.

Tak się kończy smutny wielec

Wiersz o piwie i butelce.



Rys. Zbigniew Kiulin

## Życie wysławne



## ULEPSZENIA SOCJALNE

Znajomi i przyjaciele, którzy od czasu do czasu wspinają się do mnie na poddasze, nie odznaczają się, niestety, zrozumieniem dla roli ubezpieczeń społecznych, które — jak wiadomo — są zdobyczą świata pracy i w ogóle ulepszają życie socjalne.

Naprzykład taki Tomek. Był raz u mnie, rozejrzał się po „mieszkanu” i pokręcił głową.

— Dziwna rzecz — powiedział — Jesteś lokatorem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, instytucji, znaczy się, dbającej o higienę i wygodę obywatelską, a mieszkasz — phi, phi... Poszedłbyś do nich, pogadał, kilkanaście domów luksusowych w łodzi mają, a pracowników mało, bo do Warszawy wyjechali...

Naturalnie, poszedłem. Do dyrektora, który się bardzo zdziwił.

— Napuścili — rzekł — obywatela na wędę. Prawdą jest, że mamy parę ładnych domów, prawdą jest, że połowa lokatorów Zakładu przeniosła się do Warszawy, ale wszystkie wolne lokale ubezpieczyliśmy.

— Od czego? — zapytałem.

— Od tego — odparł dyrektor — by ich nie zajął ktoś, kto nie odpowiada naszemu widziwisku.

Złożył mi kiedyś wizytę Stasiak.

— Tam do licha! — powiada Ależ u was na klatce schodowej brudno, a na parterze to nawet o mało nie przewróciłem się o szczyra! Jesteś lokatorem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Instytucji, znaczy się, dbającej o higienę i wygodę obywatelską, poszedłbyś więc do nich i powiedział, że może być z tego choroba, epidemia i t.d.

Oczywiście, poszedłem. Powiedziałem o chorobie, epidemii i t.d., a ci z Zakładu surowo do mnie:

— Wasi znajomi, obywatelu, śmichy chichy sobie z ubezpieczeń robią. Że z brudu na klatce schodowej mogą być choroby? O to właśnie chodzi, aby były. W jakim, pytamy, celu zostałyby inaczej powołane ubezpieczenie od chorób? Sami rozumiecie: nie można pociąć gałęzi, na której się siedzi...

Janek, który bywa u mnie często, odezwał się niedawno z kwaśną miną:

— Teb sobie rozbiłem — mruknął ponuro — Światła u ciebie na schodach nima. Rzecz prosta — twoja wina. Jesteś lokatorem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, instytucji, znaczy się, dbającej o higienę i wygodę obywatelską, więc gdybyś im zameldował, że o wypadek łatwo...

Nie ulega wątpliwości, iż im zameldowałem, że o wypadek łatwo, bo na schodach mrok.

— Co takiego? — oburzyli się na mnie odnośni naczelnicy i kierownicy Zakładu — I pan z tego powodu wnosi pretensje! Godna potępienia ignoracja! Niech że więc będzie panu wiadome, że skoro istnieje ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków, to naszym zadaniem jest dolożyć wysiłku, aby wypadki takie się zdarzały. Dlatego jest chyba jasne, że na schodach u pana powinno być ciemno.

Ludwik Jerzy, spoglądając kiedyś po moim „mieszkanu”, zauważył z niepokojem:

— Bój się Boga, ależ u ciebie niedługo sufit się zawali! Takie jakieś dziury... skąd się to wzięło?

— Zakład — mówię — Ubezpieczeń dach kazał naprawiać, więc przy okazji w rzeczy samej, sufit tu i owdzie popękał...

— Zakład Ubezpieczeń? — zdziwił się szlachetnie Ludwik Jerzy — Nie, to niemożliwe. Widoczne o tym nie wiedzą. Bądź co bądź, instytucja, dbająca i t.d. Napisz, mój drogi, podanie!

Napisałem. Już po upływie trzech miesięcy odpowiedzieli poufnie, ale serdecznie, że Zakład ubezpiecza również i na wypadek śmierci, wobec czego jest poniekąd pożądane, aby sufit definitywnie się zawalił.

Jak już o tym wyżej wspominałem, znajomi i przyjaciele, którzy od czasu do czasu wspinają się do mnie na poddasze, nie mają, niestety, zrozumienia dla roli ubezpieczeń społecznych, które — jak wiadomo — są zdobyczą świata pracy i w ogóle ulepszają życie socjalne.

St. St.

Z teki obywatela Zygzaka

### HISTORIA

Jakieś fatum zda się ciążyć  
Nad brzegami wciąż Jordanu:  
Ziemia ta być nie przestaje  
Wiecznie ziemią... obiecana.

Analogii patrząc szkiełkiem,  
Dawne dzieje — jakże bliskie:  
Ucisk, plagi i... marzenie,  
By z niewoli wyjść „egipskiej”!

A w londyńskim Sanhedrynie  
Nikt się ozwać nie odważy,  
By przypomnieć stary pewnik,  
Że... historia się powtórza.

By przypomnieć (o czym zresztą  
Wiedzą w każdym kącie świata)  
Jak to raz mały Dawid  
Olbrzymskiego sprzął Goliata!

Z czego się śmiali nasi dziadkowie...  
(„Kurier Świąteczny” 1871 r.)

## BAJKA O AROMACIE

Gdy raz w pewnej wycieczce po dworskie barany, Wilk został przez kundysów wielce sturbowany, Postanowił pogardzić wypraw blaskiem marnym i pozostać już odąd wcale popularnym. Ogłosił więc zwierzętom, że dla ich miłości, Wyrzeka się najwyraźniej wszelkiej drapieżności i aby zreformować prawo mocniejszego (Podług najlepszych zasad miłości bliźniego) Pragnie z nimi narady rozpocząć w tym względzie. Zwierzęta — skoro o tym słuch rozszedł się wszędzie, Zebrały się w wilczej kniei, w koło której kości Leżały, jako znaki zbytków jegomości, A sąd i powietrze nieprzyjemnej woni, Wilk poważnie wystąpił, uprzejmie się skłonił i układnie wyrzecz: „Bracia ukochani! Na to tutaj w tej kniei jesteśmy zebrani, Abyśmy uradzili jako żyć w przyszłości, Podług zasad najlepszych braterskiej miłości, Abyśmy raz już przecie poszli drogą prawą, Poznawszy, że dobrego prawda jest podstawą, O, tak, bracia, ta prawda jest wszystkim na świecie! Odpowiedźcie sumiennie!” — „Czujemy! czujemy!” Ale chciałbym też wiedzieć, czy wy ją czujecie? „A czy nią żyć będziecie?” — „Będziemy! będziemy!” „To dobrze, jak widzę, teorię już znacie, Ale teraz z praktyki — no, ty ośle, bracie, Wystąp pierwszy i powiedz, jak ci się też zdaje, Śmierdzi tu czy pachnie?” Osioł rozpoznaje Rzuciwszy nosem na wiatr. „Śmierdzi, jasnie panie!” — W końcu rzeknie — na pewno”. Na to wilk powstanie: „Co? śmierdzi!... ty śmiesz jawnie knieję mą skalować! Za tak wielką zuchwałość musisz pokutować! I doł znak. Wnet też osła z koła wyciągnęto, Za złe prawdy poczucie w kuchni łeb ucięto. „No teraz ty baranie, wystąp nam z koleś, I powiedz czyli śmierdzi w tej tu mojej kniei?” „O „pachnie!” bez namysłu baranisko rzeknie, Lecz i na tę odpowiedź wilczyśko się wścieknie, I z góry zaraz krzyknie: „Takie to u ciebie Bywa poczucie prawdy? kto w ważnej potrzebie Poświęcił przekonanie za całość na grzbiecie, Taką szkoda bez kwestii, że żyje na świecie, A więc...” skinął jak przed tym. Za fałszywe zdanie I baran jak i osioł zdławion na śniadanie. Za nim poszły cieleto, w końcu lis zostaje. Lecz chytry, wążąc w koło, niby rozpoznaje Ową woń co jest w kwestii, a gdy wilk zapytał, Czy śmierdzi czy też pachnie, jeszcze raz wiatr schwytał I rzeknie: „Na dostojne wasze zapytanie, Nic stanowczo nie powiem, bo mam katar, panie.”

Choć wołania o prawdę są codzienną śpiewką,  
Interes zwykle wiatrem, prawdą chorągiewką.

### W OGRODZIE



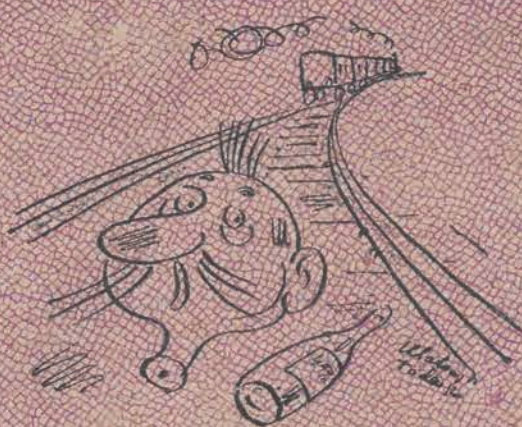
— Ci panowie, drogi mężu, to muszą być artyści malarze, bo powiedzieli, że na mojej twarzy dużo się maluje...

— A mówiłem ci, abyś nie używała tyle szminki!





Rys. Zbigniew Kiulin



Rys. Tadeusz Ulatowski



Rys. Zbigniew Kiulin

— Tyle lat byliśmy razem, a teraz mnie rzucaś? To ci nie ujdzie bezkarnie!  
— Bezkarnie? Już z góry odsiedziałem karę!

— Dobrze, że została butelka!

— W jego ramionach czuję się taka mała...  
— O kim mówisz, duszko?



Rys. Alinka

— Jeszcze trochę wysiłku kochanie, a będziemy sobie mogli spokojnie odpocząć!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Mówiłam ci, żebyś zajrzał trochę do książek!  
— Jak mogę zajrzeć, kiedy dziurka zatkała!



Rys. Ewald Guyski

— Przepraszam Cię Stasiu, ale muszę przerwać rozmowę, bo ojciec krzyczy, że ma jakiś pilny interes...

## ANEGDOTY

Ktoś wskazując pewną młodą damę, powiedział do Shawa:

— Widzi pan, to jest kochanka pańskiego kolegi, dramaturga N.  
— Niemożliwe — odparł Shaw — przy nim śpi przecież tylko publiczność.

— Czemu mężulku przewracałeś się we śnie na łóżku?

— Śniło mi się, że ty jesteś stugłową hydrą, a ja mam ci kupić na każdą głowę kapelusz.

Pewien zubożały arystokrata, gdy mu mróz już zbyt mocno dokuczył, porąbał z braku opału własne drzewo genealogiczne.

Znany polityk przemawia na wiecu. Wtem na trybunę spada główka kapusty. Mówca stwierdza:

— Widzę, że jeden z moich przeciwników stracił głowę.

— Czarująco wygląda dziś pańska żona — mówi ktoś do znanego poety — A suknia jej to poemat.

— Poemat? O, nie, dokładnie siedem wierszy i dwie nowele. Właśnie przed balem otrzymałem rachunek — odpowiada poeta.

— Czy Marian wciąż jeszcze mieszka w tych trzech pokojach z widokiem na więzienie?

— Nie od miesiąca widzi ze swego pokoju, okna swego mieszkania.

Na seansie spirytystycznym jeden z panów gwałtownie domaga się wywołania ducha Beethovena.

— Dobrze, ale co pan mi chce powiedzieć?

— Żeby zabronił mojej żonie grać swoje sonaty.

— Wiesz moja droga, wczoraj na balu spotkałam rówieśnika, przyjaciela z dziecińczych lat. Nie widziałam go od tylu lat. Tańczył niemal całą noc ze mną.

— Tak! jeszcze żywy staruszek?

— Halo, Mac Gregor, może odpisz ode mnie koszule nocne?

— ??? hęptlaome z

— Dostałem posadę nocnego stróża.

Liść z Zakopanego:

„Czuje się świetnie, pogoda wspaniała, mieszkam w pensjonacie, całe dnie drapię się po górach, całe noce — po plecach...”

Katastrofa samochodowa. Spośród aut wydobytą poranionego szofera murzyna. Przybyły lekarz zabiera się do zszywania ran ofiary wypadku. W pewnej chwili murzyn, który dotychczas nawet nie jęknął, zrywa się nagle oburzony:

— Panie doktorze, jak pan może zszywać mnie białą nitką?

Profesor X przychodzi do biura zaginionych rzeczy:

— Byłem tu przed kwadransem, by zgłosić, że zgubiłem w tramwaju książkę...

I znalazł ją pan?

— Nie, ale zostawiłem tu swój parasol.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Słyszałem, że się starasz o rozwód. Z jakiego powodu?  
— Z tego, że już dwa lata jestem żonaty...



Rys. Zbigniew Kiulin

— Dawaj szybko syndetikoni!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Odprowadź mnie, Kochamy mężu, jeszcze kawałek...

## Odpowiedzi Redakcji

Mira Penenko (Warszawa). Szkoda. Taki miły list zepsuty, oszpecony takim brzydkim zakończeniem: „wobec powyższego spodziewam się wydrukowania załącznej fraszki”. Ciekawi jesteśmy, czy Pani odwoła liczne uprzejmości pod naszym adresem, gdy zakomunikujemy, że fraszka nie będzie wydrukowana?

Kazimierz Chudoba (Pruszków koło Warszawy). Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy. Pański projekt konkursu weźmiemy pod uwagę.

S. Żęcka (Płock). Podobają się Pani wiersze naszego kolegi redakcyjnego, Ludwika Jerzego Kerna, „ponieważ nikt tak ładnie dotąd nie pisał o mojej małej kielce”. Nam się podobają jeszcze bardziej, ponieważ wiemy, że „mała kielka” L. J. Kerna mierzy 190 centymetrów.

Z. Kosłorek (Łowicz). Na listy odpowiadamy na ogół skrupulatnie, dlatego martwi nas, że nie możemy udzielić Panu odpowiedzi; nie wiemy po prostu, o co Panu chodzi?

Maria Sulimirska (Radom). Wiersz o „ogonkach powojennych” — b. drastyczny. Gdyby wychodził „Bocian” albo „Eroticon...”